

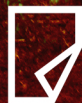


SHALEV

MEIR

DWIE NIEDŹWIEDZICE

MARGINESY



SHALEV
MEIR

DWIE NIEDŹWIEDZICE

Z HEBRAJSKIEGO PRZEŁOŻYŁA

Anna Halbersztat

MARGINESY

שתים דובים

COPYRIGHT © Meir Shalev AND Am Oved Publishers 2016

Published in agreement with The Deborah Harris Agency, Israel
and Book/lab Literary Agency, Poland
All rights reserved

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Anna Halbersztat

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,

WARSZAWA 2017

Zadzwoił telefon komórkowy. Wysoki, krzepki chłopak popatrzył na ekran i powiedział do kobiety z wyraźną ulgą:

– Muszę odebrać. Zaraz wracam.

Wyszedł na ulicę i próbował wciągnąć swój niewielki brzuch. Jeszcze się do niego nie przyzwyczał. Za każdym razem, kiedy go widział, był zaskoczony: odbicie w lustrze podczas zapinania paska, spojrzenie żony, gdy przesuwał się nad jej ciałem.

– Halo?

– Naliczyłem dziewięć dzwonek. Kazałeś mi czekać – usłyszał znany sobie głos.

– Przepraszam. Jestem w restauracji, musiałem wyjść na zewnątrz.

– Mamy kłopot.

– Słucham.

– Wyjaśnię ci rozsądnie i ostrożnie, a ty spróbuj zareagować w ten sam sposób.

– Dobrze.

– Pamiętasz naszą wyprawę?

– Dzisiaj rano?

– Co mówiłem przed chwilą? Rozsądnie i ostrożnie. Żadnych dat. Żadnych godzin.

– Przepraszam.

– Przyjemna wyprawa.

Cisza.

– Nie słyszałeś? Przyjemna wyprawa.

– Słyszałem.

– Milczysz.

– Prosiłeś o rozsądek i ostrożność. Co miałem odpowiedzieć?

– Co znaczy „miałem”? Jak możesz mówić do mnie w ten sposób? Mówi się: „miałem”.

– Dobrze.

– „Dobrze” nie wystarczy. Powtórz: „Co miałem odpowiedzieć?”.

Chłopak znowu wciągnął brzuch i natychmiast wykonał polecenie.

– Co miałem odpowiedzieć?

– Na przykład, czy się zgadzasz czy nie.

– Z czym?

– Z moim zdaniem o naszej wyprawie.

– Zgadzam się. Bardzo przyjemna.

– Powinieneś to powiedzieć, zamiast milczeć. Już drugi raz kazałeś mi czekać. Wcześniej, aż odbierzesz telefon, i teraz.

– Przepraszam.

– Nie każ mi więcej czekać.

– Dobrze.

– Pamiętasz to miejsce, w którym się zatrzymaliśmy pod koniec wycieczki?

– Oczywiście. W dolinie, pod tym wielkim karobem.

– Co mówiłem? Rozsądnie i ostrożnie. Bez dat, bez miejsc, bez nazw.

– No właśnie.

– A karob?

Chłopiec delikatnie uniół swoją prawą dłoń i popatrzył na nią. Spod białego bandaża wystawały tylko koniuszki palców. Za-

mknął swoje małe, blisko osadzone oczy, a po chwili je otworzył, jakby przypomniał sobie chwilę, w której poczuł ból. Tak go sobie wyobrażam. Stojącego przed restauracją, patrzącego na swoje lakierki, podnoszącego nieznacznie lewą nogę i pocierającego czubkiem lewego buta o prawą nogawkę spodni.

Słyszałam, jak jego rozmówca kontynuuje:

– Samo „karob”, trudno. Samo „wielki”, nic takiego. Ale „ten wielki karob”, rzeczownik z przymiotnikiem i zaimkiem przymiotnym? Podajesz wszystko na tacy. Smacznego, jedzcie. Nie zwykłe drzewo, ale karob. Nie zwykły karob, ale wielki. Nie zwykły wielki karob, ale wielki karob w dolinie. Ten opis znacznie zawęży możliwości. Po to właśnie wymyślono język, by rzeczy stały się jasne, ale między nami to, co jasne, jest złe, rozumiesz?

– Tak, przepraszam.

– Nie przepraszaj. Po prostu uważaj.

– W porządku.

– Dobrze. Teraz konkrety. Problem polega na tym, że zapomnieliśmy tam czegoś.

– Kuchenki turystycznej, na której przygotowywałeś herbatę?

– Czegoś ważniejszego.

– Łyzeczki?

– Prowadzilibyśmy taką rozmowę w sprawie łyżeczki? Pomyśl dobrze i przypomnij sobie. Choć raz użyj swojego mózgu tak, jak powinieneś. Nawet małe mózdzki mogą wiele osiągnąć, jeśli się nimi dobrze posługujemy. A jak sobie przypomnisz, nie mów, co to jest. Powiedz tylko: „Wiem, o czym mówisz”.

– Myślę.

Cisza.

– Znowu każesz mi czekać.

Cisza.

– Przypomniałem sobie. Wiem, o czym mówisz.

- Pojedź tam. Poszukaj, znajdź i mi przywieź.
- Natychmiast?
- Jeśli ktoś znajdzie to przed nami, będzie bardzo źle.
- Pół minuty i wyszłem. Będę szukałem z latarką.
- Beznadziejna sprawa. Tak jak ty. Beznadziejna sprawa. Wcześniej „miałem”, teraz „wyszłem” i „będę szukałem”. Wyjdę i poszukam. Powtórz: „Wyjdę i poszukam”. Chciałbym w końcu usłyszeć, jak mówisz coś poprawnie.
- Wyjdę i poszukam.
- I nie denerwuj mnie więcej.
- Przepraszam.
- Nie jedź tam teraz z latarką. Jest ciemno. Ktoś mógłby za- uważać światło. Wstań wcześniej jutro.
- Rano.
- O świcie. Nie parkuj tam, gdzie zawsze. Znajdź inne miej- sce, przejdź kawałek pieszo, bądź na miejscu, gdy zacznie się robić jasno, i zacznij szukać.
- Dobrze.
- Jak ręka?
- Dobrze.
- Boli?
- Trochę.
- Owinąłś bandażem?
- Po co?
- Żebyś nie dostał wścieklizny.
- Nie.
- I przestań wciągać brzuch. Czuję to, choć cię nie widzę. Da- lej, odeślij dziewczynę do domu i idź spać. Musisz jutro wcześ- nie wstać. Nie powinna wiedzieć, o której wyjdiesz.

I

Zemsta będzie tak trudna, a jakże proste i łatwe okazały się przygotowania do niej. Żonie mściciela, która stała za nim i obserwowała każdy szczegół, przypominały się przygotowa- nia do wycieczek, na jakie chodzili przed laty: energiczne po- trząsanie plecakiem, zadowolonym, że ponownie wyciągnięto go ze składziku; sprawdzanie sznurówek w butach trekkingo- wych, które już niemal straciły nadzieję; apel guzików roboczej koszuli.

Widziała także różnice: zamiast przysmaków zabieranych na wycieczki, które miały sprawić jej przyjemność, teraz wziął skromną ilość niewyszukanego jedzenia: chleb, jajka na twardo, obrane ogórki, kubeczek kwaśnej śmietany. Nagle przyszło jej do głowy słowo „ascetyczny”.

Zauważyła też inne szczegóły: jajka obierał tutaj, w kuchni ich domu, żeby na miejscu nie zostawić fragmentów skorupki, które mogłyby zdradzić obecność człowieka. Na salami, stałego towarzysza ich wycieczek, który marzył o tym, by dołączyć do grupy, nawet nie spojrział. Zapach mógł zwabić jakiegoś psa, a za psem zwykle zjawiał się i właściciel. Czarną kawę, jak zauważyła, przygotował teraz i wlał do starego termosu. Ognisko, przenośna kuchenka gazowa, świeżo zaparzona kawa... Rzeczy widoczne, słyszalne i wyczuwalne już z daleka.

Przypomniała sobie – kiedyś podczas tych wycieczek przygotowywał kawę nad niewielkimi, precyzyjnie zbudowanymi ogniskami. Gotował, mieszał, nalewał, podawał gestem flirtującego kelnera. Kupili nawet niewielki tygielek do kawy, który dzięki długiej ręczce zyskał przydomek „Jedutun”* i towarzyszył im podczas wszystkich wycieczek. Ale nawet on nie został włożony do plecaka. Gdzie jest? Nie widziała go prawie dwanaście lat.

Wiedziała: stanie się coś wielkiego i strasznego. Zemsta zostanie wymierzona, krew pomszczona, ktoś umrze, może nawet kilka osób. Mimo to na jej twarzy pojawił się uśmiech, gdy ze współczuciem pomyślała o tygielku. Pokryty sadzą i zawstydzony, nie wziął cię ze sobą? Nic wielkiego. Mnie też zostawił – jak Dawid dwustu mężów, gdy obnażył swój miecz i z zemstą gotującą się w sercu stanął naprzeciwko Nabala.

Powoli zbliżyła się do niego. Wyczuł ją? Czy nadal miał tę przerażającą, a zarazem pociągającą umiejętność wyczuwania, co dzieje się za jego plecami? Bez względu na to, czy nadal ją miał czy nie, nie odwrócił się, nie popatrzył na nią. Podeszła jeszcze bliżej z przesywającą przyjemnością świadoma dwucentymetrowej różnicy wzrostu między nimi i uśmiechnęła się do siebie: w całym moszawie** żaden mąż nie jest niższy od swojej żony, a z pewnością nie ma takiego, któremu by się to podobało.

Kiedyś, przed tragedią, gdy jeszcze chodzili razem po ulicy – „cóż za piękna para”, mówili ludzie – kładł nawet głowę na jej ramieniu. Taka zamiana ról u patrzących na nich ludzi wywoływała uczucie zażenowania, ale ją bawiła i zachwycała.

* Gra słów: „Jedutun” brzmi podobnie do słowa „jad” oznaczającego rękę. Jedutun to imię muzyka z plemienia Lewiego (1Kn 15:17, 19; 25:1). Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki.

** Moszaw (z hebr. wioska, osada) – spółdzielnie rolnicze tworzone przez syjonistów emigrujących do Palestyny podczas aliji na początku XX wieku. W moszawach podobnie jak w kibucach kładzie się nacisk na pracę społeczną.

– To ważne – powtarzał wtedy – rozśmieszać swoją ukochaną.

W ich dziesięciu przykazaniach, które spisał i powiesił na ścianie w sypialni, trzecie, czwarte oraz dziewiąte brzmiały tak samo: „Rozśmieszaj żonę swą”.

– Skąd znał ten język? – zastanawiała się wtedy, widząc te słowa po raz pierwszy, i teraz, gdy to wspominała. Kilka lat temu, pewnego bardzo złego poranka, zdarła te przykazania ze ściany, podarła i wyrzuciła do kosza. Nie napisał nowych, lecz nie zapomniała starych – nadal wisiały na ścianach jej serca.

Jego plecy stały się tak szerokie, pomyślała teraz.

W czasie tych ich wycieczek zawsze szli ramię w ramię. Gdy droga stawała się węższa, ona zwalniała, żeby on szedł przed nią. Obserwowała wtedy jego plecy, chłopięce i wąskie, a on co pewien czas odwracał głowę i mówił:

– Czemu idziesz za mną? Prowadź.

– Nie wiem dokąd.

– Wzdłuż szlaku, on cię poprowadzi.

– Nie jest oznaczony.

– Jest, choć nie kolorami. Krokami, zgniecioną trawą, poruszonymi kamieniami, błyszczącymi miejscami na skałach. Trzeba tylko patrzeć i widzieć. Jest też oznaczony swoją logiką, to najważniejsze. Szlaki są logiczne. Jeśli to pojdziesz, znajdziesz drogę.

– Wzięłam na dziś wolne, nie mam siły, by cokolwiek pojmo-
wać, nie mam też głowy do logiki. Ty się nią zajmij, a ja będę się cieszyć widokami.

– Co znowu? Pójdę za tobą i będę przyglądać się twojemu tyłkowi. Jest znacznie ładniejszy niż te widoki. Mnie też się należy trochę przyjemności.

Mimo że był jej mężem, popatrzyła na niego tak, jak matki patrzą na swoich nastoletnich synów: z pewnym niezrozumieniem, z nadzieją, ze strachem zmieszonym z rozbawieniem i ciekawością. Nigdy nie miała nastoletniego syna, a od tragedii

wiedziała, że nigdy nie będzie mieć, ale przez wiele lat uczyła w liceum w moszawie i знаła to matczyne spojrzenie, którym spoglądała teraz na swojego męża.

Czuję drzenie w środku: Czy będę nosić synów pod sercem? Czy jest dla mnie nadzieja?

Stare słowa, piękne, krążące między macicą a sercem: Jeszcze mam nadzieję, i choćbym tej nocy jeszcze do męża należała, i rzeczywiście zrodziła synów*. Mężowi? Mojemu mężczyźnie? Tobie?

II

Często wyjeżdżali. Wcześniej sami, później z synem. Na początku z pływającym i wiercącym się w jej brzuchu, potem zawiniętym w chustę i śpiącym w kołysce jej ramion i piersi, wreszcie w nosidełku uszytym przez ojca w szwalni jego jednostki rezerwowej. Uszył i nosił na plecach, które teraz widziała przed sobą.

Jej załzawione oczy wypełniły się obrazami. Syn, mały rycerz, jadący na plecach ojca. Ojciec galopuje, naśladując odgłosy wydawane przez konia, a matka krzyczy za nimi:

– Uważaj! Błagam cię. Wystraszy się. Wypadnie. Uważaj!

Jej przepowiednia nie spełniła się. Choć syn rzeczywiście się wystraszył. Ale – jak to robią dzieci – zachwyił się swoim przerażeniem. Roześmiał się. Podniósł. Wstał. Zrobił pierwsze kroki. Upadł i wstał. Już wtedy było w nim widać zwinność jego rodziców – w krokach, potknięciach, uśmiechu i we wstawaniu.

Na początku chodzili z nim na wycieczki po okolicy – oglądać polne maki i chryzantemy rosnące we wschodniej części moszawu, połacie różowego lnu na wzgórzach na zachód od

* Księga Rut 1:12. Wszystkie cytaty biblijne pochodzą z tłumaczenia Izaaka Cylkowa.

plantacji awokado. Później nad niewielki staw ukryty przed światem, w którym pływali w gorące letnie dni. Wiele lat wcześniej jej brat w tym stawie uczył ją pływać i nurkować. Gdy ich syn zaczął pewniej chodzić, wzięli go do doliny dziadka Ze'ewa, jak nazywali dolinę z wielkim karobem – wielkim karobem dziadka, dokładniej mówiąc.

Tam w dolinie jako dziecko wędrowała z bratem i dziadkiem. Dziadek uczył ich, jak rozróżnić dzikie kwiaty, jak je oznaczać i zbierać ich nasiona. Pod tym karobem opowiadał historię, którą później spisała dla swojego syna: o prameńczczyźnie żyjącym w pobliskiej jaskini. W tej jaskini znajdował się wielki dół. Czasem wpadała do niego owca lub zabłąkana koza i po jakimś czasie smród padliny rozchodził się po okolicy.

Później wędrowała po tej dolinie z mężem, wzdłuż równoległych kanałów. „Kierowaliśmy się na północ”, pisał tym swoim żołnierskim żargonem. Dochodzili do miejsc, w których nie spotykali żywej duszy. Uwielbiali kochać się pod gołym niebem, znaleźli kilka sekretnych zakątków idealnie się do tego nadających. Stamtąd szli dalej, wyżej, na szczyt góry, skąd widzieli kolejny szlak – przyjemnie im znajomy. Dla ich syna to był obcy i daleki świat, zapraszający, cudowny: chodź, zbliż się, dotknij, powąchaj; chodź, napełnij szuflady swojej pamięci.

Potem zaczęli wędrować we dwóch. Ojciec i syn, bez niej.

– Męskie wyprawy – tak mówił. Pewnego dnia dodał nawet: – Dziewczyny nie są zaproszone.

Tak powiedział, a ja tylko zachichotałam. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, co nadejdzie. Nigdy nie słyngłam z intuicji, daru na ogół przypisywanego kobietom, zwłaszcza matkom. Także w dzień tragedii niczego nie wyczułam.

Męskie wyprawy. Oni sami, we dwóch. Mały facet musi nauczyć się od dużego faceta wszystkich głupstw, jakich ojciec musi nauczyć syna: jak rozpalić ognisko, rozpoznać rośliny,

z których liści można zaparzyć herbatę, jak chodzić boso po ziemi. Dziewczyny prawdopodobnie nie powstrzymałyby się od złośliwych komentarzy lub od wyrażania niepokoju: Co będzie, jeśli wejdzie na kawałek szkła? Albo jeśli pojawi się wąż? Nawet dziadek Ze'ew zawsze zakładał wysokie buty.

– Jeżeli zobaczymy węża, poradzimy sobie z nim. Prawda, Netto? – tak wołaliśmy na niego, na naszego syna.

Pewnego razu zaprotestował:

– Śmieją się ze mnie w przedszkolu. Czemu daliście mi dziewczynskie imię?

– Śmiej się razem z nimi.

I znajdować Gwiazdę Polarną, prowadzić starą furgonetkę – Netta podekscytowany siedział na kolanach ojca, jego ręce trzylatka, czterolatka, pięciolatka, sześciolatka trzymające kierownicę... Jak wiązać węzły, poprawić widzenie w nocy, rozpoznawać i identyfikować to, co słyszą uszy, widzą oczy, wacha nos i czego dotykają palce.

– To igła jeżozwierza, to skóra zrzucona przez węża. Dotknij jej, pocuj, jaka jest delikatna i cienka. Dotknij, Netto, nie bój się, to tylko skóra, jego już tu nie ma, zrzucił ją i popęzłał dalej. Gdyby był, jestem tutaj, obronię cię.

Słyszałeś, Netto? Słuchaj uważnie. Tak krzyczy sójka, a to skwir sokoła. Tak piszczy kulon, a tak koliber. Tak mlaska rudzik. Co roku rudzik przylatuje na nasze podwórko, zawsze na to samo drzewo. My je zasadziliśmy, ale on uważa, że należy do niego. Teraz powąchaj: to oman. Twoja mama uważa, że śmierdzi. Powąchaj i powiedz, co myślisz. Nie tak. Zamknij oczy. Powąchaj z zamkniętymi oczami. Tylko nosem. Zapach zapamiętujemy lepiej niż obrazy, lepiej niż dźwięki. To zapach omanu... ruty... pistacji... macierzanki... Teraz najlepsze – szałwia. Szałwia jest naszą przyjaciółką. Jeśli poznasz i zapamiętasz wszystkie nazwy, powiem o tym dziadkowi Ze'ewowi. Uszczęśliwisz go.

Może weźmie i ciebie do wielkiego karobu w jego dolinie i do tamtejszej jaskini, może nauczy cię nazw roślin, może opowie ci o pramężczyźnie, który tam kiedyś mieszkał, przygotowuje i dla ciebie kij na wypadek ataku złego psa, jadowitego węża albo niedobrego człowieka. A jak trochę podrośniesz, nauczy cię też strzelać do celu ze swojego starego mauzera.

– Spójrz: tropy hieny. Wygląda jak duży pies, ma niskie pupę i długie przednie łapy. Ślady przednich łap są większe od śladów tylnych łap. Czemu się śmiesz? Bo tata powiedział „pupa”? Też powiedz „pupa”. Powiedzmy to razem: pupa. Pupa. Pupa. Pupa.

I jeszcze jedna sprawa, bardzo ciekawa. Ten kamień. Każdy kamień na tym polu ma część dolną i część górną, część należącą do ziemi i część należącą do nieba. Widzisz? To dolna część. Znajduje się na niej tylko trochę ziemi i pajęczyn. A to górna część, część należąca do światła, chropowata. Dotknij i pocuj ją. To porost. Jeśli kamień ma porost na dolnej części, ktoś go odwrócił. Wziął go i nie odłożył na miejsce, tak jak powinien.

– Natura wydaje się jednym wielkim bałaganem – mówił jej wielokrotnie. – Ale tak nie jest. Każdy element natury ma swoje miejsce.

Uśmiechnęła się do siebie, wspominając, bo tak powtarzał jej, gdy się kochali: ależ bałagan w tym łóżku! Jedna noga tam, druga noga tutaj... A ten mały przyjaciel, co on tu robi? Odłóżmy go na miejsce. Teraz jest znacznie przyjemniej. Widzisz?

– No chodź, Netto, połóżmy ten kamień tak, jak powinien leżeć, na jego miejscu. Jest! Widzisz te małe pędy? Tutaj są zupełnie białe, a tylko końcówki mają zielone. Wyrosły pod kamieniem, rozrosły się na boki, żeby wyjść na powierzchnię, i dopiero gdy im się to udało, zazieleniły się. Białe części pozostały pod kamieniem, zielone oświetlało słońce. Jeszcze jeden wniosek: kamień przewrócono niedawno. Prawda, że to ciekawe, Netto? Jesteśmy jak policyjni detektywi.

„Męskie wyprawy”... Popatrzył na ich syna, syn popatrzył na niego i obaj – jak zwyczajcy – na nią. Kto mógłby przebić taką parę chłopaków, ojca i syna, uśmiechających się do siebie, dzielących się tajemnicami i intrygami? Męskie wyprawy na wzgórze na południu, męskie wyprawy na ogromne pola kukurydzy na północ od moszawu, gdzie okazjnie kupowali młode kolby, które tak lubiła.

– Opieczemy je mamie nad ogniem. Chodź, pokażę ci jak.

– Przyniosłem ci, mammo. Smaczne?

– Jedz, są specjalnie dla ciebie.

Zjadłam. Smakowały mi. Moja wściekłość rosla.

Męskie wyprawy odbywały się wzdłuż skał nad brzegiem morza, między głazami za zamkiem krzyżowców, gdzie cyklameny kwitły już na Chanukę.

– Patrz, jaki cud – powiedział mi dziadek Ze’ew, gdy jeszcze żył, a ja byłam dziewczynką. – Kwiaty tych cyklamenów prawie rozkwitają, tymczasem ich liście jeszcze nie przebiły się przez ziemię. Tak dzieje się tylko u nas. Choć tak blisko moszawu, nikt o tym nie wie. Tylko ty i ja.

Męskie wyprawy na pustynię... Za pierwszym razem i ostatnim, dokładnie dwanaście lat temu, wyprawa, po której nigdy więcej nie wędrowali – ani sami chłopcy, ani ja z nimi. I szczerze mówiąc, niczego już nie robiliśmy razem. Od tamtej pory minęło dwanaście lat, a mnie się wydaje, że sto.

III

Patrzyłam, jak przygotowuje się do wyjścia. Znam go i nie znam zarazem. Rejestrowałam w głowie zmiany, jakie zaszły w nim od tamtego czasu. Gdyby nie ta tragedia, która je spowodowała, mogłabym uśmiechać się z radością. Ja, mimo upływającego czasu i tego, co się stało, nadal wyglądałam młodo. Widzia-

łam w lustrze, że promienieję, widziałam to w oczach uczniów, w spojrzaniach ich rodziców, w zamglonych oczach mężczyzn i kobiet na ulicy. A ty, ty, mój mężczyzno – tak mówiłam do niego wtedy – stałeś się innym człowiekiem, straciłeś swój wygląd.

Wiem: nie można tego zrzucić wyłącznie na starzenie się. Starzenie się to powolny proces. Zawsze utrzymuje kilka oznak młodości, które na początku cieszą serce, a później – gdy okazuje się, że nie tyle utrzymuje, ile przypomina i drażni – irytują. W twoim przypadku nastąpiła całkowita przemiana, jak przepieczwarzenie się owada.

Obserwuję go, ponownie liczę zmiany – jego uśmiech zniknął. Jego ogień, wieczny ogień, zgasł. Jego złota skóra, moja duma i radość, utraciła blask i stała się zimna. Jego przyjemny zapach, mirra naszej młodości, wywietrzał. Jego ciało – niegdyś ciało chłopca – stało się niezgrabne i ciężkie. Nie grube i słabsze, ale mocniejsze. Jego ramiona, niegdyś kształtne i zwinne, są ciężkie jak u niedźwiedzia, ich uścisk jest przerażający.

Mój mężczyzna, mój pierwszy mąż, złoty i szczupły, zniknął. Nie ma go. Drugi mąż – biały, ciężki, inny – zajął jego miejsce. Cały jego ciężar był czystą siłą. Jego biel – bielą śmierci. Promienie słoneczne go nie opalały, ludzie omijali go wzrokiem.

Pamiętam: pewnego dnia zaciął się w palec i krwawił. Nawet na mnie nie patrzył, gdy go opatrywałam, ale ogarnęła mnie radość – żył. I miał krew czerwoną jak zawsze. Gdybym tylko mogła swojego drugiego męża, tego białego i obcego, rozciąć, by wyjąć ze środka swojego pierwszego męża.

IV

Obserwowałam go, gotowego do wyjścia: wierzyłam w dokładność jego przygotowań, cieszyłam się, że jego mózg i dłonie nadal pamiętają każdy, nawet najmniejszy szczegół. Jedzenie

spakował do dwóch plastikowych pudełek, które wyciągnął z kuchennej szafki. Pudełka schował do plecaka, dołożył dwie butelki wody. Potem zrobił jednak coś nowego i obcego, czego nigdy nie robił, gdy wyruszaliśmy na nasze wyprawy – spisał na kartce wszystkie zabierane rzeczy. Jak listę zakupów: sześć bochenków chleba, dwa ogórki, trzy granole, śmietana, dwa jajka na twardo. A także: dwa plastikowe pudełka, termos, łyżka, dwie butelki wody, plecak, papier toaletowy, ta kartka, długopis.

Kartkę i długopis wsadził do kieszeni i wtedy ponownie mnie zadziwił: wziął z łazienki gruby dywanik, na którym stawaliśmy po wyjściu spod prysznicy, i wyszedł, zaniósł go razem z plecakiem do szkółki roślin.

Poszłam za nim: żona, która wie, co nadejdzie; matka, która to sobie wyobraża; wnuczka, która się cieszy – chodźcie, chodźcie, tchnijcie życie w nasze suche kości – widzę i pamiętam każdy szczegół. Ze ścianki z narzędziami znajdującej się w szkółce wziął rzeczy, których nie bierze się na zwykłą wycieczkę: groźnie wyglądającą składaną japońską piłę ręczną, sekator, rolkę zielonej taśmy izolacyjnej.

Powolne, pewne tempo jego działań nagle przyspieszyło. Na liście i w plecaku pojawiło się więcej przedmiotów: zwój grubej liny, scyzoryk oraz oczywiście stały towarzysz, czyli mały kilof, którym wykopuje się bulwy i korzenie, a który może w jego rękach, dobrze o tym wiem, stać się straszliwą bronią. Zapisał to na kartce, do listy dodał także kluczyki do samochodu i schował je do kieszeni. Podszedł do furgonetki zaparkowanej pod zadaniem i położył plecak na tylnym siedzeniu.

Teraz wrócił do ścianki z narzędziami, zdjął z niej duże nożyczki i przeciął dywanik łazienkowy na dwie równe części. Na obrzeżach zrobił dziurki, przeciągnął przez nie kawałki liny i całość położył obok plecaka. Ze stosu rzeczy leżących w kącie wyciągnął wypłowiałą zielonkawą plandekę z dziurami w me-

talowych oprawkach rozmieszczonymi wzdłuż brzegu. Przez nie również przeciągnął kawałki liny, a na końcach zawiązał węzły. Plandekę wrzucił do bagażnika, na niej położył grabie oraz niewielką miotłę. Umył i opłukał z brudu ręczny spryskiwacz, napełnił go wodą, nacisnął kompresor i skierował strumień na ziemię. Zaraz potem odkręcił zawór, otworzył zbiornik i dodał do znajdującej się w nim wody poliioctan winylu. Zamknął zbiornik, potrząsnął spryskiwaczem, znowu nacisnął kompresor. Włożył spryskiwacz do bagażnika i dodał do listy: płachta, grabie, miotła, owcze buty. Czym są owcze buty i po co zostały zabrane, zrozumiałam dopiero później, gdy wrócił z miejsca, do którego pojechał, i gdy zdałam sobie sprawę, jaki czyn tam popełnił.

Teraz skierował się do starego składziku stojącego na podwórku, niewielkiej drewnianej szopy, pozostałości po pierwszych dniach dziadka Ze'ewa i babci Rut w moszawie. Po kilku chwilach wyszedł stamtąd z paczką – czymś długim zawiniętym w stary koc pokryty wyblakłym haftem kwiatowym. Oba końce paczki zostały związane sznurem, więc wyglądała ona jak ciało owinięte całunem.

Położył paczkę na podłodze przy tylnym siedzeniu furgonetki, dopisał do listy: paczka, koc i ta strzelba, tak właśnie, ta określona. Pochylił się i ręcznie zablokował przednie piasty kół, tak jak to robią chłopcy podczas męskich wypraw, zanim wyruszą w drogę. Usiadł na fotelu kierowcy i – jakby sobie o tym przypominał dopiero w tej chwili – wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów. Czynność powtarzana regularnie przez kilka ostatnich lat miała nieoczekiwane zakończenie: paczka wylądowała w koszu na śmieci.

Poruszyło mnie to, bo coś w tym precyzyjnym ruchu ręki przypomniało mi jego wcześniejszą zwinność.

Powiedziałam:

– Ejtan.

Zrobił coś, czego nie robił od dwunastu lat – popatrzył mi prosto w oczy.

– Ejtan. Dokąd jedziesz?

Milczenie.

– Nie martw się, nikomu nie powiem – zapewniłam.

Cisza.

– Chcesz, żebym z tobą pojechała? Pamiętasz, jak się prowadzi? Nie jeździłeś od dwunastu lat.

Włączył silnik.

Pamięta, oczywiście, że pamięta, uspokajałam się. Człowiek taki jak on nie zapomina. Ani tego, jak się prowadzi, ani tego, jak się wędruje szlakiem. Ani kamuflażu, zastawiania pułapek, strzelania.

– Ejtan – powtórzyłam.

Znowu popatrzył mi w oczy.

– Wiem, dokąd jedziesz. Wiem, co zamierzasz zrobić. Wiesz, że jestem z tobą. Bądź ostrożny. Proszę.

Furgonetka ruszyła, wyjechała za bramę szkółki.

– Wróć punktualnie – krzyknęłam. – Słyszysz? Mamy jutro pogrzeb.

Pojechał. Nie w prawo, w stronę głównej drogi, tylko w lewo, na pola.

V

Wyobrażam sobie: wyjechał na drogę kilka kilometrów dalej, do skrzyżowania z doliną dotarł, gdy słońce już zachodziło. Nie włączył świateł, jechał powoli jeszcze kilkaset metrów, aż do kolejnej doliny. Tam zredukował bieg. Jeszcze raz i bez hamowania, i bez włączania kierunkowskazu skręcił w prawo na piaszczystą krótką drogę prowadzącą do stacji benzynowej na skraju doliny. Poruszał się z dużą wprawą. Bieg ustawił na dwójkę: furgonetka

turlała się powoli, by nie zrobić hałasu, nie rozpryskiwać kołami żwiru ani nie pogłębiać kolein.

Wyobrażam sobie: będąc kilkaset metrów od przepompowni, skręcił za rosnącą za nią grupę dębów i delikatnie zaciągnął ręczny hamulec. Przekręcił wyłącznik światła w środku, otworzył drzwi, wystawił nogi na zewnątrz i trzymając stopy w powietrzu, mocno przywiązał do butów kawałki maty łazienkowej. Dopiero wtedy wysiadł. Plecak i spryskiwacz powiesił na jednej z gałęzi dębu, a broń – ukrytą w kocu jak wąż – na gałęzi poniżej. Podniósł kilka kamieni i rozłożył je wokół furgonetki, którą dokładnie przykrył wypłowiałą plandeką.

Zaczęło się ściemniać, więc przyspieszył ruchy. Cienkie linki przyczepione do brzegów plandeki przywiązał do kamieni, spryskał plandekę roztworem kleju, obrzucił piachem i suchymi liśćmi, które natychmiast do niej przylgnęły. Grabiami sprawnie zatarł wszelkie ślady po przeniesionych kamieniach, ślady stóp i kół. Uniósł krawędź plandeki i schował pod nią grabie oraz spryskiwacz. Odsunął się nieco od samochodu, popatrzył na swoje dzieło, zarzucił plecak na ramię, chwycił strzelbę zawiąniętą w koc i poszedł w górę doliny.

Od lat tak nie wędrował – wąską, kamienistą i ciemną ścieżką nietkniętą kilofami ani gąsienicami buldożerów. Ślady po zostawiły na niej tylko zwierzęta, ludzie i mijający czas. Jego stopy natychmiast przypomniały sobie sztukę cichego, pewnego nocnego chodzenia, które nie pozostawia śladów poza tymi na jego twarzy: stary, enigmatyczny uśmiech, nieco krzywy, bo przez dwanaście lat mięśnie twarzy jakby trwały w bezruchu, nie rozciągały się w uśmiechu, nie układały do pocałunków i nie poruszały przy mówieniu, były używane do jedzenia, picia i zaciskania szczęk.

Znam tę ścieżkę. Nieraz nią szłam. Po półtora kilometra, za trzecim zakrętem, wspiął się na niski grzbiet w południowej czę-

ści doliny, położył się tam na chwilę na brzuchu, nasłuchiwał i obserwował, a później mocno pochylony przeszedł skarpe po skosie i znalazł się po jej drugiej stronie. Niedługo potem dotarł do pistacji kleistej i dębu skalnego rosnących obok siebie kilkadziesiąt metrów nad ostrym zakrętem sąsiedniej doliny. Dąb jest wyższy, ma grubsze konary, natomiast pistacja – zgodnie ze swoją naturą – jest niewielka i przysadzista, a jej gęste, pachnące gałęzie sięgają ziemi.

Tam się zatrzymał, położył strzelbę i plecak na skale, odwrócił się i popatrzył na wielki, tak dobrze mu znany karob rosnący w dolinie poniżej. W ciemności drzewo wyglądało jak potężna czarna bryła. Jej kontury wyostrzały się, gdy patrzył na nią z boku, i znów wtapiały w otoczenie, gdy patrzył na nią wprost. Za kilka godzin, gdy będzie leżał w przygotowanej przez siebie kryjówce, z karabinem w ręku, słońce wzejdzie za jego plecami. Będzie widział wyraźnie, a mężczyzna, którego imienia i twarzy nie zna, ale to na niego czeka i jego życie zamierza odebrać, gdy spojrzy w jego stronę, zostanie oślepiiony przez promienie słoneczne.

Rozwiązał sznur owinięty wokół koca i wyciągnął z niego broń, ponadstuletniego mauzera, ciężkiego i precyzyjnego. Strzelali z niego żołnierze niemieccy i żołnierze tureccy, a także dziadek Ze'ew oraz on sam. Wsunął karabin między gałęzie i ustawił go na kolbie. Wyjął z plecaka niewielki kilof i oparł go o pobliski kamień, rozpostarł koc na ziemi i położył się na nim, rozwiązał ochraniacze, ściągnął je i wsunął pod plecak.

Zdjął buty i postawił obok plecaka, a skarpetki zwinął w kłębek i wsadził po jednej do każdego buta, tak by nie dostał się tam skorpion ani wąż. Przesunął się na jedną połowę koca i przykrył drugą połową. Sprawdzał, czy lewą ręką dosięgnie mauzera, a prawą kilofa, przyciągnął do siebie płaski kamień, położył na nim głowę i odetchnął głęboko. Czekają go kilka godzin w ciemności i miał nadzieję, że tej nocy bezsenność go oszczędzi.

Dodaję kolejne elementy układanki: ludzie nie chodzą tamtędy nocą, dzikie zwierzęta nie podejść do niego. Jeśli nie pojawią się bezpańskie psy, jeśli ktoś nie odkryje zamaskowanej furgonetki – wszystko potoczy się sprawnie. Nawet oddanie strażu go nie martwi: w okolicy często są widywani myśliwi, żołnierze na przepustkach, którzy polują w lasach niedaleko wsi. Nikt nie będzie go szukał i nikt nie zgłosi policji pojedynczego strażu, a jeśli nawet zgłosi – żaden policjant się nie pofatyguje.

Był pewien, że usłyszy śpiew ptaków przed wschodem słońca, ale na wszelki wypadek ustawił swój wewnętrzny zegar tak, by obudzić się o odpowiedniej porze. Mimo tego, na co czekał, czuł się odprężony – po raz pierwszy od bardzo dawna. Dobrze wiedzieć, że robi to, co trzeba zrobić. Dobrze wiedzieć, że ma takie zdolności i takie narzędzia, które pozwolą mu to zrobić. Dobrze jest leżeć na ziemi i czuć ją: tak twardą, a zarazem tak miękką. Zamknąć oczy pod ciemnym niebem, wdychać powietrze docierające do niego z rozgwieżdżonego nieba. Dobrze ponownie móc czuć się dobrze.

– Wróciłam, to ja – powiedział. Użył rodzaju żeńskiego tak jak kiedyś, gdy zaskakiwał mnie, objąwszy od tyłu, po powrocie do domu, do łóżka, do mojego ciała. Tak zawsze mi mówił: – Wróciłam, to ja.

Czuję: jego głowa opiera się o kamienną poduszkę, wzrok obejmuje ogrom przestrzeni. Niebo wygina się nad nim jak kobieta. Zaraz jej dotknie przez zamknięte powieki i opadające zasłony ciemności. Jego ciało staje się ciężkie i miękkie. Zasypia. Po raz pierwszy od dwunastu lat z taką łatwością, bez koszmarów, które mogłyby przerwać ten sen.

Obudziliśmy się o ustalonej godzinie. Kilka chwil leżeliśmy w ciszy. Ejtan tam, na ziemi, z widokiem na wielki karob w dolinie dziadka Ze'ewa. A ja tutaj, w naszym domu, w naszym łóżku. Nie otworzył oczu, słuchał z natężeniem znajomej sekwencji

dźwięków kończącej się nocy: Czy nastąpiła jakaś zmiana? Pojawiła się przeszkoda? Czekałam na jego powrót, oczy miałam zamknięte tak jak on i tak jak on nasłuchiwałam – muezinów nawołujących w oddali przez głośniki, stada wyjących szakali, radosnych trel kulonów, wykonujących swój taniec na koniec nocy, a chwilę po nich sójek z doliny i sójek z naszej szkółki.

Miło się obudzić i usłyszeć śpiew ptaków. Otworzyć oczy pod ciemnym niebem, gdy horyzont na wschodzie blednie, zanim zaświeci się na złoto. Miło poczuć subtelny, cudowny ruch pod plecami. Oto kula ziemiska, obracająca się wokół własnej osi, prezentuje nową długość geograficzną różowawym palcom świtu. Kolejny uśmiech pojawił się na jego twarzy. Dwanaście lat bez uśmiechu i nagle – dwa w ciągu jednego dnia.

Usiedliśmy w tym samym momencie. Moje stopy poczuły zimno kafelków na podłodze. On schował stopy pod koc. Wyciągnął z torby butelkę z wodą, nalał trochę na dłoń i przemył oczy. Wytrzepał porządnie skarpetki i je włożył, odwrócił buty do góry nogami, wytrzepał i też włożył, a na nie przygotowane wcześniej owcze buty. Odszedł na kilka metrów i oddał mocz na niewielki krzew krwiściągu ciernistego. Uważał przy tym, by nie było go słychać i by kałuża nie wypłynęła spod gałązek. Kamień służący mu za poduszkę odłożył na miejsce, wziął broń i zszedł do karobu. Zbadał ziemię wokół niego, obejrzał i obwąchał niewielką jaskinię przy korycie doliny i znajdujący się w niej dół.

Powoli robiło się jaśniej. Ejtan wrócił do swojej kryjówki, wypił trochę kawy z termosu. Wstałam, włączyłam czajnik i poszłam do łazienki. On zakręcił termos i włożył go do plecaka, wyciągnął papier toaletowy, wziął broń i motykę, odszedł około trzydziestu metrów od kryjówki i wykopał dół. Później wrócił na miejsce, wyciągnął japońską piłę, sekator oraz taśmę i poszedł w stronę pistacji.

Zaparzyłam herbatę. Pijąc ją, patrzyłam przez okno na naszą szkółkę. Z tyłu majaczyła duża, ciemna morwa. Gdy światło niedługo nabierze mocy, liście morwy się zazielenią. Ejtan uniósł dwie grube gałęzie sięgające ziemi, rozłożył je i wczołgał się tak daleko, jak tylko mógł. Wyciągnął rękę i odpiłował gałęzie blisko pnia, w dół i na ukos, by nie było widać jasnego drewna, które mogłoby zwrócić czyjąś uwagę i wzbudzić ciekawość. Potem wypchnął je na zewnątrz, wczołgał się ponownie w przestrzeń stworzoną przez siebie w gęstym listowiu. Poprzycinał sekatorem wewnętrzne gałęzie i powsadzał je między inne gałęzie; w ten sposób powiększył kryjówkę.

Zerwał się lekki wiatr, jeszcze więcej ptaków dołączyło do porannego chóru. Ejtan pociął zieloną taśmę na mniejsze kawałki i poprzyklejał je w miejscach przecięcia gałęzi. Wsadził sekator do kieszeni, wysunął się spod gałęzi, spakował piłę i taśmę z powrotem do plecaka, który, razem z bronią, schował do nowo powstałej kryjówki. Wpełznął do środka, pociągnął za sobą koc, rozłożył go na tyle, na ile to możliwe, uklęknął na nim i wciągnął do środka obcięte wcześniej dwie grube gałęzie, liśćmi na zewnątrz.

Teraz usiadł w swojej niewielkiej kryjówce, której ściany i sufit tworzyły liście i gałęzie, a podłogę – wyszywany w kwiaty koc oraz ziemia. Zjadł trochę, ugasił pragnienie. Gdy skończył, wykreślił z listy śmietanę, jajko, dwie kromki chleba, ogórek i granolę. Kartkę i długopis schował do kieszeni, opakowanie po granoli, kubeczek po śmietanie oraz łyżeczkę włożył do oddzielnej kieszeni w plecaku.

Horyzont za nim zaczął się rozjaśniać. Położył broń na liściach, popatrzył przez celownik. Na tę odległość nie potrzebował karabinu snajperskiego. Wystarczy mu stary mauzer ze zwykłym celownikiem: znana mu precyzja sprzętu połączona z jego doświadczeniem. Wyciągnął sekator, obciął delikatnie jeden po

drugim kilka liści, które zasłaniały mu pole widzenia, i schował go do plecaka.

Niedługo wszędzie słońce. Popatrzył znów na dolinę i karob. Mógł tylko czekać. Czekanie jest trudne, nużące, ale był przekonany, że nie potrwa długo. W przeszłości zdarzało mu się czekać dłużej, doświadczył sytuacji znacznie bardziej niebezpiecznych i skomplikowanych. I rzeczywiście, o szóstej trzydzieści poczuł, że jego czekanie dobiega końca. Na początku we wnętrzu, później w uszach: poruszony kamień uderzył o inny i zadźwięczał w ciszy, podeszwa ześlizgnęła się, z poirytowanych ust wydobyło się przekleństwo.

Młody mężczyzna, który się pojawił, wyglądał inaczej, niż go sobie wyobrażał: wysoki, krzepki, z zabandażowaną prawą dłonią. Miał mocny, gruby kark i miękki brzuch trzęsący się nieco pod obcisłą koszulą. Należał do tych ludzi, których stopy są mniejsze, niż można by się spodziewać, a ich okulary słoneczne raczej ukrywają oczy, niż je chronią.

Był ubrany w czarne spodnie, jasnożółtą koszulę i czarną skórzaną kurtkę skrojoną jak marynarka. Włożył też skórzane buty do kostek o kwadratowych noskach i cienkich skórzanych podeszwach – dowód najgorszego braku doświadczenia połączonego z przesadną pewnością siebie i lenistwem. Ejtan nie zauważył broni w jego ręku, za paskiem ani pod rozpiętą kurtką, ale z ramienia mężczyzny zwisała skórzana torba, w której mógł znajdować się pistolet.

Obserwował go ze swojej kryjówki, oczyścił myśli z nienawiści oraz złej woli, żeby ofiara nie wyczuła ani jego obecności, ani intencji, ponownie przypomniał sobie, że to, co planuje zrobić, nie jest złe. Zło promieniuje daleko, a ten, kto sam ma je w sercu, bez wysiłku wyczuje je w sercu innego człowieka. To, co dobre, słuszne i właściwe, jest ukryte i ciche, nie zdradza tego, kto ma je w sercu, nawet z niewielkiej odległości.

Mężczyzna znowu się poślizgnął na wilgotnych kamieniach, za każdym razem klął na cały głos. Ejtan obserwował go uważnie i pomyślał, że tylko w ten sposób można spotkać takiego drania jak on – spotkanie pierwsze i ostatnie, w jego ostatnich chwilach. Pozwolił mężczyźnie dojść do karobu. Patrzył na niego i zrozumiał, że to na niego czeka.

Mężczyzna pochylił się, uklęknął, stanął na czworakach, zaczął obracać i przekładać kamienie – Ejtan wiedział, że nie będzie zwracał sobie głowy odkładaniem ich na miejsce. A gdy porzucił swoje poszukiwania, wyciągnął telefon z kieszeni kurtki. Ejtan wiedział, że mężczyzna będzie chciał powiadomić tego, kto go wysłał, więc oddał strzał z powodu, dla którego tu się znalazł.

Trzydziestoletni Baruch, który przez całe dzieciństwo i młodość żył w cieniu wspaniałego dziadka, jest dziś zamożnym człowiekiem, właścicielem ziemi, na której znajduje się cmentarz. Opowiada o losach dziadka Mirkina, który wraz z dwoma przyjaciółmi przybył z Rosji do Palestyny, by budować nową społeczność.

To historia o mężczyznach harujących w pocie czoła, uczących się ziemi od nowa, z nadludzkim wysiłkiem osuszających i przekształcających bagno w ziemię uprawną i miejsce do życia. To epos o rolnikach i postaciach niezwykłych – każdy z nich to ekscentryk owiany legendą jeszcze za życia. To opowieści, które na długo zapadają w pamięć: o uroczystości obrzezania Abrahama, pierwszego dziecka urodzonego na ziemi obiecanej, o krwiożerczej hienie i zdziżałym perskim kocie imieniem Bułhakow, o założeniu cmentarza, który „wzbudza zawiść we wszystkich oprócz tych, którzy byli na nim pogrzebani”.

To także opowieść o tym, że dziadka Mirkina – choć poślubił piękną i odważną pionierkę Fejge Lewin – do końca życia prześladowało wspomnienie kobiety, którą zostawił w Rosji.

Trudno uwierzyć, że ta historia zaczęła się tak niedawno, w latach dwudziestych XX wieku. Nie ma już takich miejsc i nie ma już takich ludzi.

www.marginesy.com.pl



cena 39,90 zł